

Paweł Marczewski

Pierwszeństwo reprezentacji przed demokracją a obietnica polityki

Andrzej Waśkiewicz, *Paradoksy idei reprezentacji politycznej*, Wydawnictwo Scholar (Archiwum Warszawskiej Szkoły Historii Idei – Studia), Warszawa 2012, 294 s.

Pomimo ostrożności, z jaką autor feruje sądy, książka Andrzeja Waśkiewicza *Paradoksy idei reprezentacji politycznej* jest w istocie obroną śmiałej tezy o pierwszeństwie reprezentacji politycznej przed demokracją. Dyskusje o stanie współczesnych ustrojów demokratycznych, zarówno te skupione na ich funkcjonowaniu na poziomie lokalnym, jak i te rozważające ich działanie na szczeblu krajowym czy międzynarodowym, koncentrują się dziś najczęściej na problemie deficytu demokracji, rozumianym najogólniej jako niewystarczający wpływ obywateli na podejmowane decyzje. Prowadzenie w mieście częstych konsultacji społecznych lub poddanie większej ilości spraw pod referendum – krajowe, ogólnoeuropejskie – traktowane są jako środki „demokratyzacji demokracji”, co ma z kolei prowadzić do zwiększenia prawomocności władzy. Andrzej Waśkiewicz wychodzi z całkowicie odmiennego założenia. To reprezentacja jest według niego źródłem prawomocności władzy – i to każdej władzy, a nie jedynie demokratycznej.

Wstęp zawiera jasną deklarację tego stanowiska: „Koncentrując się na problemie deficytu demokracji w instytucjach władzy, zwolennicy ich demokratyzacji zdają się jednak nie rozumieć złożonego charakteru samej *idei* reprezentacji i nie zauważać wielości funkcji, jakie w swej zinstytucjonalizowanej formie pełni ona w całym systemie politycznym. Roli tej nie można bowiem sprowadzić do sprawowania władzy przez nominalnego suwerena za pośrednictwem niewielkiej grupy osób podejmujących decyzje. W rzeczywistości, o czym będzie mowa w tej książce, reprezentacja nadaje też tej władzy prawomocny charakter, przyznaje reprezentantom

istotne uprawnienia wobec reprezentowanych, a jednocześnie zapobiega nadużywaniu tych uprawnień ze szkodą dla rządzonych; służyć ma także ustaleniu wspólnego interesu całej wspólnoty, a jednocześnie oddawać różnicowanie interesów grupowych. Żadnej z tych funkcji instytucja reprezentacji nie mogłaby pełnić, gdyby w całości podporządkowana została idei wyrażania woli ludu przez ciało przedstawicielskie, funkcje te wikłają ją jednak w nieuchronne paradoksy, kompromitujące w oczach ‘mocnych demokratów’ (s. 11).

Przytoczony fragment zawiera myśl, która w moim przekonaniu jest kluczowa dla całej pracy – to reprezentacja jest źródłem władzy prawomocnej, a więc takiej, która nie poddaje się naciskom ze strony poszczególnych grup interesów (przyznaje bowiem reprezentantom „istotne uprawnienia wobec reprezentowanych”), a zarazem nie jest władzą suwerenną sama z siebie, potrzebuje mocodawcy „odgórnego” (Boga) lub oddolnego (ludu), a niekiedy obu naraz. Napięcie pomiędzy swobodnym dysponowaniem uprawnieniami a koniecznością nadania owych uprawnień sprawia, że idea reprezentacji zyskuje paradoksalny charakter. Waśkiewicz jest przekonany, że ta paradoksalność jest dowodem na pojemność koncepcji, a nie jej wyczerpania lub słabości. Sytuuje go to nieuchronnie w opozycji do rzeczników „mocnej demokracji” (w rozumieniu autora tym zbiorczym pojęciem można określić demokrację deliberacyjną, uczestniczącą czy bezpośrednią, a więc wszystkie te jej odmiany, które na różne sposoby usiłują urzeczywistnić ideał rządów ludu *we własnym imieniu*; ludu obywatelskiego się bez reprezentantów lub zastępujących reprezentantów mandatariuszami).

Charakterystyczne, że broniąc idei reprezentacji przed krytyką „mocnych demokratów”, Waśkiewicz wskazuje na istotne funkcje, jakie pełni ona „w całym systemie politycznym”. Dobór słów jest tutaj nieprzypadkowy – autor podkreśla doniosłość reprezentacji dla „systemu politycznego”, a nie dla demokracji, jest bowiem przekonany, że – jak pisze – „idea reprezentacji jest tyleż demokratyczna, co antydemokratyczna i z wyjątkiem klasycznej tyranii, służyć może właściwie każdej formie władzy”. Jego zdaniem, współczesne, czysto techniczne dyskusje nad większą bądź mniejszą reprezentatywnością tej czy innej ordynacji wyborczej zaciemniły ten fundamentalny paradoks, przyjmują bowiem milcząco za pewnik związek reprezentacji z demokracją. Tymczasem zależność „im pełniejsza reprezentacja, tym więcej demokracji” podważana jest zarówno przez „mocnych demokratów” (dla nich reprezentatywność władzy oznacza większe ryzyko oderwania jej od rzeczywistych potrzeb i interesów społeczeństwa), jak i przez obrońców pierwszeństwa reprezentacji przed demokracją, tak jak Waśkiewicz przekonanych, że „aby pojąć właściwą obietnicę polityki we współczesnej demokracji, nie należy jej bynajmniej wywodzić z greckiego

ideału władzy ludu, ale poddać analizie ideały, na których opiera się rząd przedstawicielski” (s. 12). Innymi słowy, w perspektywie tych drugich współczesna demokracja jest jednym z etapów rozwoju ideału rządu przedstawicielskiego, a nie realizacją ideału rządów ludu za pośrednictwem władzy sprawowanej przez reprezentantów. Dla autora *Paradoksów...* rządy ludu nie są wartościowe same w sobie, nie mogą być zatem spełnieniem „obietnicy polityki we współczesnej demokracji”. Treścią tej obietnicy nie jest partycypacja, lecz raczej wartości takie, jak indywidualne i grupowe bezpieczeństwo, samorealizacja, swoboda dyskusji, wreszcie umożliwiające realizację ich wszystkich kompromisy pomiędzy sprzecznymi dążeniami.

W tej perspektywie paradoksy wpisane w ideę reprezentacji politycznej, które ujawniają się w różnych ustrojach usiłujących zapewnić prawomocność władzy poprzez jej reprezentatywność, przybliżają ją jednocześnie do spełnienia „obietnicy polityki”. Współczesna demokracja niekoniecznie realizuje ją lepiej niż wcześniejsze ustroje, lecz usiłuje zrobić to w społeczeństwie, które jest zróżnicowane w zupełnie inny sposób niż choćby społeczeństwo feudalne. Aby prześledzić jej spełnianie przez rząd przedstawicielski, Waśkiewicz sięga zatem „do tych klasyków myśli politycznej, którzy idei reprezentacji nie podporządkowali jeszcze logice demokracji, jak również tych, dla których związek ich obu był ciągle problemem zasad i wartości, a nie tylko rozwiązań technicznych” (s. 14).

Wywód zaprezentowany w *Paradoksach...* rozpoczynają rozważania o myśli średniowiecznej, a w ostatnim rozdziale dyskutowana jest między innymi myśl XX-wiecznego przedstawiciela pluralizmu socjalistycznego George’a Douglasa Howarda Cole’a. Samo rozumowanie nie jest jednak uporządkowane ściśle chronologicznie. Obok Cole’a rozpatrywany jest Tocqueville, a zaraz po rozważaniach o *Uwagach o rządzie polskim* Rousseau autor przechodzi do późniejszej o blisko sto lat koncepcji rządu reprezentatywnego Johna Stuarta Milla. Celem Waśkiewicza nie jest wszakże podręcznikowy wykład historycznego rozwoju koncepcji reprezentacji, ale wydobycie tytułowych paradoksów, stworzenie zapisu dynamiki, która sprawia, że całkowicie różne i formułowane w odmiennych kontekstach idee reprezentacji oscyływały pomiędzy przyznawaniem coraz większych uprawnień reprezentantom, aż do przekazania im pełni suwerennej władzy, a mnożeniem przed reprezentantami coraz większej ilości utrudnień sprawiających, że pozostawali zależni od swoich mocodawców.

Śledząc tę dynamikę autor omawia pięć szczegółowych paradoksów, z którymi boryka się idea reprezentacji politycznej: legitymizacji władzy, jej suwerenności, ograniczenia, wyłaniania wspólnego dobra i zróżnicowania społecznego. Pokazując je w myśli autorów różnych epok, niejednokrotnie zestawiając ich ze sobą dość swobodnie, Waśkiewicz sugeruje, że

owe paradoksy są w gruncie rzeczy właściwe każdej władzy przedstawicielskiej, niezależnie od tego, jaki szczególny problem polityczny zainspirował danego myśliciela do wskazania na określoną sprzeczność reprezentacji.

I tak podstawowe zagadnienie legitymizacji władzy przedstawicielskiej wyłania się z pism Marsyliusza z Padwy, usiłującego dowieść, że wszelka władza w Kościele pochodzi z reprezentacji Ludu Bożego przez sobór, papież ma zaś jedynie symboliczne znaczenie. Jak czytamy w *Paradoksach...*, „czyniąc z soboru reprezentację Ludu Bożego, dotknął on [Marsyliusz z Padwy] już mimo wszystko zasadniczej ambiwalencji ciał przedstawicielskich, które z jednej strony mają odwzorowywać reprezentowane społeczności, z drugiej natomiast mają im przewodzić. Z jednej strony ciała te powinny być więc reprezentatywne, z drugiej powinni w nich być nadreprezentowani ludzie wybitni” (s. 47). Ta ambiwalencja jest zatem wpisana w samą ideę reprezentacji, która by być prawomocną, musi jednocześnie odwzorowywać zróżnicowanie pomiędzy reprezentowanymi oraz skupiać w sobie to, czego chcą lub powinni chcieć wszyscy. Co więcej, myśl średnowieczna zadaje sobie nie tylko pytanie o to, *кто* jest reprezentowany, ale i *przed kim*. Jeśli sobór, posiadający pełnię władzy w Kościele, reprezentowałby przed Bogiem jego Lud, oznaczałoby to, że owa władza nie pochodzi od Boga. Marsyliusz przyznaje zatem boską, odgórną sankcję wyłanianej oddolnie władzy ludu. Jak wskazuje Waśkiewicz, odrzucenie zasadności pytania o to, *przed kim* reprezentuje swoich mocodawców władza przedstawicielska – zanegowanie boskiego pochodzenia władzy przez rewolucję francuską – paradoksalnie uczyni reprezentantów ludu dużo potężniejszymi, nie muszą oni bowiem uprawomocnić swojej władzy „od góry”, a jedynie „od dołu”; uzyskawszy ją, stają się właściwie wszechwładni.

Prowadzi nas to do drugiego paradoksu, czyli zagadnienia suwerenności władzy przedstawicielskiej. Analiza myśli Thomasa Hobbesa zawarata w *Paradoksach...* podporządkowana jest jednemu celowi – próbie odpowiedzi na pytanie, czy władza reprezentacyjna, która nie jest w żaden sposób ograniczona przez swoich mocodawców, nadal zasługuje na to miano. Waśkiewicz, polemizując z zastrzeżeniami Hanna Pitkin, odpowiada twierdząco: „Specyfika reprezentacji, która jest przedmiotem umowy między ludźmi w stanie natury, polega na tym, że w żadnej mierze nie jest ona sprzeczna z suwerennością, ponieważ jest jej aspektem. Jedynie suwerena można nazwać reprezentantem, bo dopiero w państwie on sam reprezentuje swoich poddanych” (s. 84). Dla autora o wiele bardziej paradoksalna jest kwestia zdolności do powołania tak rozumianej władzy przedstawicielskiej przez zbiorowość ludzką w stanie natury. Skoro pod wszystkimi innymi względami poszczególni ludzie nie są zdolni do samodzielnych

wyborów (Hobbes porównuje ich kondycję do sytuacji dzieci, obłąkanych i szaleńców), to w jaki sposób potrafią oni wybrać sobie suwerennego reprezentanta? Czy wyłonienie władzy reprezentacyjnej jest zatem aktem wyboru odmiennym niż zawarcie umowy między dwoma obywatelami? Waśkiewicz sięga tu po Hobbesowskie rozróżnienie między reprezentacją osób a reprezentacją przedmiotów nieożywionych i istot nierozumnych. Ta druga kategoria reprezentacji oznacza zabranie głosu w imieniu kogoś lub czegoś nieposiadającego zdolności do samodzielnej artykulacji swoich interesów. Ludzie w stanie natury są zatem nie tylko podobni dzieciom, ale i kościołom, szpitalom czy mostom – w *civitas* mogą zaistnieć jedynie wtedy, gdy ktoś przemówi w ich imieniu.

Takie postawienie sprawy oznacza, że najważniejszą cechą określającą ludzi w stanie natury jest po prostu biologiczne istnienie. To ono ich definiuje, to ono jest ich cechą wspólną, a więc to właśnie życie, trwałość egzystencji, jest cechą wspólną, która pozwala przemienić wielość organizmów ludzkich w jedność ciała obywatelskiego. Na takie ujęcie reprezentacji politycznej nie przystaną, rzecz jasna, wszyscy ci myśliciele, dla których ludzi łączy coś więcej poza chęcią przeżycia.

Trzeci paradoks, ograniczenia władzy, nie zostaje postawiony w kategoriach odrzucenia absolutyzmu jako władzy odbierającej ludziom wolność stanowienia o sobie (tak argumentować będą spierający się z Hobbesem szesnastowieczni myśliciele republikańscy, o których Waśkiewicz jedynie wspomina). Kluczowy jest tutaj zarzut o niewystarczające reprezentowanie różnic pomiędzy ludźmi. Dla Monteskiusza, a zapewne i dla uważnie czytających go twórców amerykańskiej konstytucji, oparcie ustroju politycznego na jednej, w dodatku przedpolitycznej, biologicznej cesze człowieka – chęci przeżycia – nie świadczy wcale o realizmie. Waśkiewicz wskazuje na zasadniczy zarzut Monteskiusza wobec Hobbesa: autor *Lewiatana* uznał ludzi cywilizowanych, upolitycznionych za jednostki w stanie natury. Aby władza przedstawicielska mogła się utrzymać, a zarazem rzeczywiście reprezentować kogokolwiek, musi przekuć różnorodność obywateli, ich egoizmy i sprzeczne dążenia, w ład społeczny. W *Paradoksach...* mechanizm ten zostaje opisany terminami pożyczonymi od Judith N. Shklar – instytucje reprezentacji i podziału władzy zamieniają prywatne przywary w publiczne cnoty. Egoizm zrównoważony egoizmem nie tylko sprawia, że żadne partykularne dążenie nie może ostatecznie zatryumfować nad innymi, ale pozostawia władzy przedstawicielskiej margines swobody dla bezstronnego działania na rzecz dobra całego społeczeństwa.

Czwarty paradoks omawiany przez Waśkiewicza dotyczy treści owego dobra. Niezależnie od tego, czy władza przedstawicielska jest całkowicie nieskrępowana przez swoich mocodawców, czy też odzwierciedla

zróżnicowane dążenia obywateli, jej prawomocność bierze się z działania na rzecz tego, co wspólne – nawet jeśli sprowadza się to jedynie do troski o biologiczną egzystencję. Rodzi się zatem pytanie o procedurę określania tego dobra wspólnego. W *Paradoksach...* problem ten zostaje przedstawiony jako napięcie pomiędzy deliberacją a agregacją, przy czym deliberacja jest tu pojmowana, za Edmundem Burke’em i do pewnego stopnia również Millem, jako dochodzenie do swoistej „wiedzy królewskiej”, rozwiązań obiektywnie korzystnych dla całego państwa, przez debatującą elitę polityczną niezwiązaną partykularnymi interesami i dążeniami swoich wyborców. Agregacja tymczasem oznacza uzgadnianie partykularnych interesów, do głoszenia których przedstawiciele zostają zobowiązani przez swoich mocodawców. Waśkiewicz ukazuje ten mechanizm na przykładzie *Uwag o rządzie polskim* Rousseau, zgodnie z którymi fundamentem wolności Rzeczypospolitej są sejmiki, „*palladium* wolności”, wysyłające na zgromadzenie ustawodawcze nie tyle reprezentantów, co delegatów związanych mandatem. „W takim porządku instytucjonalnym dobro wspólne nie byłoby niczym innym niż agregatem dóbr cząstkowych, jakimi są dobra poszczególnych województw”, kwituje autor *Paradoksów...* (s. 186). Waśkiewicz szuka jednak stanowiska pośredniego, pozwalającego połączyć agregację z deliberacją i odnajduje je w myśli Milla. W konkluzji rozdziału podsumowuje je następująco, uzasadniając zarazem konieczność połączenia skrajności: „W skrajnych przypadkach agregacja wymaga reprezentatywnego ciała przedstawicielskiego i związanego mandatu, deliberacja natomiast autonomii reprezentantów myślących wyłącznie w kategoriach dobra całości. Władzy kierującej się jedynie procedurą deliberacji – władzy swoistej arystokracji – może brakować demokratycznej legitymizacji; hiperdemokratyczna władza agregująca tylko dobro wspólne może zaś zostać sparaliżowana niemożnością osiągnięcia konsensusu. Dlatego właśnie rząd reprezentacyjny musi kierować się obiema procedurami w tym zakresie, w jakim nie są one ze sobą jaskrawo sprzeczne” (s. 211). Problem polega jednak na tym, że Waśkiewicz przedstawia je jako jaskrawo sprzeczne, wikłając się wskutek tego w paradoks, dla którego przekonującego rozwiązania nie oferuje nawet Mill. Powrócę jednak do tej trudności później, sądzę bowiem, że ma ona źródła w specyficznym rozumieniu deliberacji, to zaś bierze się z kolei ze szczególnego rozumienia wspomnianej na wstępie „obietnicy polityki”. O tym, dlaczego uważam to rozumienie za szczególnie i co stanowi dla niego przeciwwagę, piszę w uwagach końcowych.

Ostatnim paradoksem, omawianym przez autora, jest problem zróżnicowania społecznego. O ile wcześniej była mowa o przenoszeniu egoizmów na poziom polityczny w celu ograniczenia samowoli władzy przedstawicielskiej, o tyle tutaj różnorodność społeczna nie podlega przeniesieniu,

lecz jest ograniczeniem sama w sobie. Autorzy, tacy jak Tocqueville i Cole argumentują, że rozmaite dążenia ludzi podlegają reprezentacji już na poziomie społecznym, a nie w instytucjach politycznych. Dla Cole'a będzie to argument za tym, że państwo jest *de facto* zbędne – wystarczą stowarzyszenia, w które łączą się ludzie mający te same cele. To one tworzyć będą *de facto* rząd przedstawicielski, to między nimi negocjowane będą rozmaite jednostkowe interesy. Poszczególni obywatele reprezentowani będą przez wielość takich organizacji, zajmujących się poszczególnymi istotnymi dla nich aspektami życia. Tocqueville wyznacza stowarzyszeniom kluczową, ale skromniejszą rolę – mają pobudzać obywateli do wspólnego działania i upominać się o kwestie, które większość chciałaby pominąć. Waśkiewicz widzi tu jednak kolejny paradoks – stowarzyszenia, powołane w celu działania na rzecz spraw, których nie chce lub nie umie załatwić władza przedstawicielska pochodząca z wyboru, są swoistą nadreprezentacją aktywnych (s. 258). Milczących lub zajętych sprawami prywatnymi bierze zatem w obronę zinstytucjonalizowana, pochodząca z wyboru władza przedstawicielska.

Omawiając sprzeczności wpisane w ideę reprezentacji politycznej Waśkiewicz dowodzi jednocześnie jej żywotności i wszechstronności. Unika uproszczeń, polemizuje również z tymi myślicielami, którzy budzą jego sympatię. W ujęciu Waśkiewicza reprezentacja polityczna staje się ideą subtelną, jej realizacja wymaga uważnego równoważenia celów, które na ogół są rozbieżne, a niekiedy bywają sprzeczne – dobra wspólnego i partykularnych dążeń. Wątpliwości budzi jednak mocne założenie o pierwszeństwie reprezentacji przed demokracją, na którym opiera się cała praca. Waśkiewicz znajduje dlań podstawę w przekonaniu przywołanym na początku niniejszego szkicu: „Aby pojąć właściwą obietnicę polityki we współczesnej demokracji, nie należy jej bynajmniej wywodzić z greckiego ideału władzy ludu, ale poddać analizie ideały, na których opiera się rząd przedstawicielski”. Ostatecznie zatem to, czy „obietnicę polityki” realizuje rząd przedstawicielski, czy też próba realizacji ideału rządów ludu przez którąś z wersji „mocnej demokracji” zależy od tego, jak rozumiemy tę obietnicę.

Wydaje się, że przynajmniej niektórzy z omawianych przez Waśkiewicza autorów, choćby Tocqueville, rozumieli ją zupełnie inaczej. Od konfliktu społecznego bardziej obawiali się apatii. Tyrania większości była dla Tocqueville'a nie tylko problemem zdominowania mniejszości, niedoreprezentowania jej interesów, ale nade wszystko przyczyną słabnięcia aktywności obywatelskiej. Poza napięciem między formalnymi instytucjami reprezentacji politycznej a tworzonymi oddolnie stowarzyszeniami znajdziemy też w *O demokracji w Ameryce* pochwałę tumultów, anarchicznych wybuchów zaangażowania. Owszem, Tocqueville powtarza defini-

cję wolności gubernatora Johna Winthrope'a – „wolność jest czynieniem tego, co się czynić powinno”. Ale tego, co powinno się czynić, można się dowiedzieć niekiedy jedynie poprzez konfrontację.

Obawa przed destrukcyjnym sporem, której bodaj najostrzejszy wyraz stanowi myśl polityczna Hobbesa, nie jest jednak pierwszą przyczyną, dla której zwolennicy władzy reprezentacyjnej usiłują ją uniezależnić od ludowych mocodawców – całkowicie lub w pewnym zakresie. Ostatecznie elita reprezentująca dobro całego społeczeństwa dochodzi do niego na drodze sporu, deliberacji – tak to widzą Mill czy Edmund Burke. Spór w obrębie elity prowadzi zatem do wyjawienia tego, co wspólne, podczas gdy spory ludu, o ile nie są zamienione w cnoty publiczne za pomocą instytucjonalnego systemu *checks and balances*, skutkują rozpadem, wojną domową albo tyranią większości. W rzeczywistości chodzi więc o przekonanie, że spór prowadzi do kompromisu jedynie wtedy, kiedy spierający się mają pewne kompetencje poznawcze, gotowość do wysłuchania kontrargumentów i umiejętność ich zrozumienia. To zapewne oczywistość, nie jest jednak zupełnie oczywiste, dlaczego te kompetencje miałyby posiadać jedynie wąska elita – i to nie elita posiadająca określone, techniczne umiejętności, ale charakteryzująca się bliżej niesprecyzowaną, choć właściwą jedynie jej zdolnością do rozumienia tego, co wspólne i korzystne dla wszystkich. Brzmi to jak błędne koło tłumaczenia nieznanego przez nieznaną – elita polityczna jest nią, ponieważ ma szczególny zmysł polityczny, a zarazem ów zmysł polityczny jest określany jako właściwy owej elicie.

Nieprzypadkowo w *Paradoksach...* nawet w uwagach na marginesie nie pojawia się Spinoza – myśliciel, który rzucił Hobbesowi najpoważniejsze wyzwanie. W rozdziale XVIII *Traktatu teologiczno-politycznego* Spinoza podważa Hobbesowskie rozumienie „wielości” (*multitudo*, o którym mowa w *O obywatelu*) – nie jest ona nierozumna, gdyż nie potrafi kierować się jedną, niepartykularną wolą polityczną. Te niedostatki rozumu, sążenie wszystkiego ze swojego, szczególnego punktu widzenia, są cechą ludzkiej natury. Prawdziwy problem pojawia się zatem wtedy, kiedy tę naturę usiłujemy ukryć, przypisując suwerennemu władcy nieomylność. Skutkiem nie jest wówczas wyłonienie się jednej woli politycznej, ale narzucenie partykularnych dążeń suwerena całemu społeczeństwu. Z kolei w rozdziale VII *Traktatu politycznego* wątpliwość, którą zgłasza Waśkiewicz – w jaki sposób nierozumne dzieci, jakimi są ludzie w stanie natury, mogą dokonać wyboru suwerena? – zostaje odwrócona. Pytanie brzmi teraz: dlaczego akt wyboru miałby stworzyć rozumnego suwerena, skoro wszyscy mamy tę samą naturę? Uznanie, że samo wyłonienie władzy

reprezentacyjnej sprawia, iż zyskuje ona jakiś ponadnaturalny wgląd w dobro wspólne, jest naiwnością.

Przyjęcie perspektywy Spinozy powoduje, że deliberacja, omawiana przez Waśkiewicza na przykładzie Burke'a czy Jamesa Milla, nie może być już sprowadzana do uzyskiwania „wiedzy królewskiej” przez dyskutującą elitę. Dyskutować może z powodzeniem całe społeczeństwo i nie oznacza to wcale, że poszerzenie kręgu dyskutantów nie przyniesie porozumienia. Być może „obietnicę polityki” lepiej zatem realizuje „mocna demokracja”. Owszem, obiecuje więcej – nie tylko kompromis, ale i rzeczywisty wpływ lub chociaż udział w dyskusji. Złożenie większej obietnicy w tym przypadku niekoniecznie jednak oznacza, że jest ona bez pokrycia.